Powiastka z życia.

Powiadają: lepiej późno jak nigdy.- Za późno, bo minęło ośm krzyżyków wieku- a co gorsza bez notatek- z pamięci, i jak Łacinnik mówi: ex libro non doctus, ex capite.... Pisało się Regestra, uprawiało się rolę, dla kawałka chleba, a kiedy to już wszystko przeszło, żyje się wspomnieniami. Czytając co nieco, a szczególniej opowiadania Kiarusów synów ojczyzny- jakaś chętka niepohamowana napadła opisać życie, wypadki i przejścia osobiste z wojaczki.

Za cel jedyny uważam gryzmołę.- Czytać będzie młody może wnuk, i podziała to na nim tak/: przy innych pismach:/ jak na mnie nasz wieszcz Mickiewicz: Odą do młodości, Konradem Wallenrodem i t.d. Różycki K. świetnem przejściem z Wołynia do Królestwa, z swoim Pułkiem bohatyrskimi czynami, i wielu innych naszych sławnych przodków, kiedy to jeszcze wojowali w Imię Boga, a nie w imię rozumu,- a bili się, co się zowie! —

W roku 1812 mogłem mieć lat 16 z 17- a Brat mój o rok młodszy. Było nas braci trzech. Jako starsi już konia dosiadaliśmy dobrze, zpaść to było hańbą, bo i ojciec dobrze siedział na koniu.

W tym to czasie i roku powszechnego zapału Brat mój młodszy wymknął się wcześniej z Białegostoku do Królestwa i dostał się do 1ego pułku Gwardyi, dowodził Gr Krasiński Wincenty. A kiedy wkrótce po wejściu Napoleona Igo z Armią na Litwę, ojciec mnie przywiózł do Białegostoku, a ja spostrzegłem dwóch akademików ubranych w całej paradzie w mundurach 3go Pułku Gwardyi, którą sztyffował G. Konopka w Słonimie,- padłem tamże na bruku do nóg ojcu, ażeby mnie oddał do tegoż pułku. Ojciec z radością podniósł mnie, ucałował, i w kilka dni wyprawił—

/.

na koniu, z funduszem, wypisawszy marszrut
drogę przez krewnych, ażeby prosić o błogosławień-
stwo.– Dopełniłem.– W kilka dni stanąłem w Słonimie
i zameldowałem się Gen. Konopce, któren powiedział mi
że: to koń nie pod ciebie, dostaniesz innego. Żal
mi było konia, bo był dzielny – ale perspektywa
że jutro pałasz i ostrogi będą zagodziły sprawę; i o
ile przypominam sobie brzęk pałasza i ostrogów wy-
nagrodziły stratę – chociaż w kilka dni smutno mi było
bez konia, bo dopiero na koniu byłbym całym bohate-
rem. Upominałem się konia, niedano, tylko obiecywano.
Czas uchodził na małej pieszej musztrze, śpiewach, brzęka-
niu w ostrogi. Wtém nadchodzi wiadomość że Generał
Czaplic, okopany na Pińskich błotach, w dwadzieścia i
kilka tysięcy wyrusza /: nie wiedzieliśmy jeszcze o tem,
że się i Napoleon w Moskwie rusza :/. Nasz Generał
porzuciwszy karty, zaczął się ruszać, jakoż mając
300 koni, te montował /: jak mówią w ołowiane pałasze i łan-
ce :/ a zdaje się do 400 nas pieszych oddał pod komende Majora
Tańskiego. Była trwoga, ale za bagatelkę to uważaliśmy. Tym-
czasem Czaplic się zbliżał. /: Mówili wtenczas, że nawet tak
manewrował – żeby sobie nasz Generał zrejterował
z akademią :/ Dość że na kilka dni przed aferą odebrał
Major Tański rozkaz z nami piechurami udać się do
Bielicy, co i nastąpiło. Tam staliśmy ledwo kilka
dni. Jednego poobiedzia wpadło naszych kilku Ułanów
z wiadomością, że nasi rozbici w Słonimie, Generał
w niewolę wzięty: Rejwach, trąbki zagrzmiały do
zebrania się, a w godzinę już byliśmy w marszu do
Wilna. Tu moja przygoda: Jesień, słota, błoto, marsz
nagły – do Lidy – ustało dużo, między innymi i ja, tak że
prawie o 12-ej w nocy dolazłem do 1szej chaty, raczej szynku.
Wcisnąłem się między kolegów. Pierwsza, na żyda z góry:
Jeść – wódki! co żyd uskutecznił: misa ogórków, bochenek
chleba – bo jeszcze się gotowała dla ogółu wieczerza.– Na-
piwszy się wódki, zjadłszy misę ogórków z chlebem o dobrej
porcyi /: tak smacznych ogórków w życiu nie jadłem :/ stąd położyłem się

na gołej ławie za stołem; tak błogo że kiedy do kolacyi kolędzy budzili; a nawat jak mi mówili później, podnieśli i trzęśli, niedobudzili się – zjedli. – Tak przespałem do dnia, obudziła mnie dopiero trąbka. Pobudką przestraszyłem się mocno – nieczując nóg. Wsparłszy się na ręku, postrzegłem że są. Dopiero ręką strąciwszy jedną i drugą, zaraz uderzyła krew, nastąpiło szczypanie jakby mrówek. Oparłszy się o stół, depcząc, przyszedłem do przekonania zupełnego, że i nogi mam, i do dalszego marszu gotów. Wkrótce i poszliśmy w marsz, którem aż do Wilna, jakby świży, doszedłem. – W Wilnie staliśmy jakiś czas. A jak zaczęły nadchodzić wiadomości o głównej rejteradzie, poszliśmy do Trok, i tam staliśmy jakiś czas. Nadwieźli szpital wojskowy, oczyszczając w Wilnie.
Szpitale – dla przechodzących przybyłe
Byli tam słabi różnych narodowości. A że był mróz nadzwyczajny, dużo zmarzłych zrzucili przed naszym magazynem, przy którym robiliśmy wartę. Jednej nocy byłem na warcie parę godzin. Pamiętna to noc. Bo żeby nie jakiś hart i wstyd tchórzostwa, rejterada niezawodna, szczególnie, kiedy pociągało coś, żeby spojrzeć, i widziało się, że wiatr porasza włosami, tu rękę wyciągniętą, tam głowę jakby ruszającą się; słowem niemiłe uczucie. Ale jakoś dotrwałem do zluzowania. Wkrótce wymaszerowaliśmy w najsroższe mrozy. Śniegi grube. Ubrani lekko, jakby po letniemu poszliśmy przez Preny do Prus. W marszu byłem odkomenderowany do kwatermistrzostwa. W paru marszach przemarzłem, dostałem słabości żołądka, i więcej kolegów, na furach wiezieni i przywiezieni do pruskiego miasteczka. Tam niegościnnie zostaliśmy zpędzeni z fur przez prusaków. Poknyliśmy się po domostwach. W jakiś czas nadciągnął nasz obóz, na czele nasz Major Tański. Powytaziliśmy z zakątków skarżąc się. Major nasz tyle tylko powiedział: To czas wojny! i zakomenderował: marsz, marsz! Niemieliśmy żalu, bo to zrozumieliśmy dobrze, co to znaczy „czas wojny.” Było to już przed wieczorem, zaradziliśmy sobie różnie. Ja poszedłem, raczej polazłem utorowaną drogą. Na szczęście spostrzegłem chłopaka małego parą końmi saniami już w nocy dojeżdżającego do mnie. Z rezygnacyą

stangłem i kazałem zawrócić (: Umkierns) usłuchał i przywiózł mnie do wsi, gdzie się nasz obóz zatrzymał na noc, i zawiózł do Tredykanta. Tam zastałem swoich i kolegę, którego prosiłem, żeby poszedł za Doktorem, bo już i wzmagała się gorączka. Przyszedł Doktor Lewkowicz postawił silne synopizma na łytkach. Rano wymaszerowali zdrowsi, zostawiając nas słabych na Boskiej opatrzności. Było nas słabych u tego księdza z 8miu z. Dwóch czy trzech przeniosło się do wieczności, resztę porozbierali po kwaterach; ja tylko sam jeden zostałem. Przeszło ze 3 tygodnie czasu, przy pilnej i dobrej wygodzie przyszedłem do zdrowia, lecz wstać, przejść się, nie mogłem, zaraz padałem. Ale wiedząc co czeka, przez usilne dźwiganie się, w końcu kilkanaście kroków zrobiłem. W tym wchodzi ksiądz, mówi po niemiecku (: zrozumiałem:) że za parę dni przyjdą kozaki, jeżeli ja chcę, on mnie przechowa. Nie zgodziłem się na to, bo miałem silną wiarę w Napoleona. Na drugi czy trzeci dzień kazano wszystkich nas zebrać i wywieźć do Machtenbùrg (: nie pamiętam dobrze gdzie był szpital:) Mój ksiądz poczciwy dał mi garnuszeczek masła, kiełbasy, parę bułek w torbeczkę i 2 talary. Z tym zapasem wyruszyłem. Fury nas przywieźli i na rynku zrzucili; a ponieważ było ślisko (gołoledź) prawie, więcej raczkiem doszedłem do austeryi. Tam napiłem się piwa grzanego. Pokazano mi szpital, poszedłem, zastałem przed szpitalem dużo stojących, leżących Braci Wiarusów różnej narodowości. Zacząłem bić we drzwi, chociaż warta wzbraniała, nareszcie wypukałem, wyszedł Niemczyk i powiedział: ist nicht kaim plac. – Krótko zastanowiwszy się poszedłem ubitym traktem, raczej łaziłem, myśląc, wszystko jedno, czy tu zginąć, czy na polu. Tylko młodość z nadzieją coś podobnego dokazać może. Doszedłem do wsi i wszedłem do 1o domku. W pierwszej izdebce było na podłodze trochu mierzwy, jak to pod nierogaciznę bywa, w drugiej niemiec zamknięty tylko łada otwarła. Położyłem się na mierzwie, Niemiec zaczął dopytywać skąd, jak, a żem za czasów pruskich był w szkole w Augustowie

gdzie był Niemiec Dyrektor, uczyłem się coś trochę po niemiecku, lecz nieszczęśliwie, bo młodzież nasza jak zaczęła urągać, że to barani język, ani sposobu się uczyć mając wstręt; wściekał się Dyrektor, używał i środków bolesnych, niepomagało, - a jednak co nieco zostało. I tak szła rozmowa z niemcem. Pokazało się on szewc, a że jego brat ~~szewc~~ oberamtman, był sąsiadem moich rodziców. Kiedy tak się ciągnie gawęda, wchodzi 3 francuzów bez broni i kładą się na tejże mirzwie, a słysząc rozmowę, którą nie rozumieli, a chcieli mieć przewodnika rozpytującego się o drogę bliższą, odezwali się: Kamrad marsz! zrozumiałem: żeby iść z niemi, i dla czego? A więc rozpytałem się o drogę bliższą: nach Dorszau /: Trzszczewa :/ i posypialiśmy. Nie szczególny sen, bo w tym barłogu było dosyć zwierzątek kąsających. Do dnia zbudzili mnie koledzy. Najprzód ~~wyszedł~~ jeden, potem drugi, nareszcie trzeci mnie wyprowadził. Kiedy odeszliśmy znaczny kawałek, pokazał jeden i drugi z pod płaszcza po gęsi. A więc dobra zdobycz. Szczęśliwie trafiłem wskazaną drogą do pierwszej wsi; tylko co zabłysły w chatach ognie. Do pierwszej lepszej dostukaliśmy się, i zaraz Francuzi zaczęli gęsi skubać. Wrzeszczeli niemcy że: gryps - Francuzi że kauf. Stanęło, że dostali garka, jedną zgotowali a drugą upiekli. A cóż to był za rosół! wątpię żeby Tremon kucharz królewski kiedy taki zgotował. Zjedliśmy. - Rozpytałem się o drogę do Trzszczewa (Dorszau), poszliśmy i doszli. Trzeba było przejść Wisłę zamarzniętą, jak lustro gładką. Przeszliśmy wspierając się i padając, raczkując. Przeszedłszy zastaliśmy włoską kawalerję na koniach szóstkami, tamującą przejście. W tej chwili znikli Francuzi, a ja po pod koni przesunąłem się. Zastałem już ogniska rozłożone na rynku, Francuzów i różnych narodowości obozujących. Zbliżyłem się do nich, odpędzili mię, dla tego że ciasno, i drew czyli chałup nie pomagałem rozbierać. Wcisnąłem się do Plackomandanta, zastałem Grenadjerów Francuzkich w przedpokoju znalazłem i kącik - wypchnęli, poszedłem do kuchni,

./.

toż samo spotkało, a to noc, desperacyja. Poszedłem po pod domostwa. Widzę: w jednym pokoju na słomie kilku francuzów Oficerów i pod oknem siedzącego żołnierza. Wchodzę, żołnierz wstał i wyszedł, zasiadłem jego miejsce, i tak szczęśliwie, że jużem go więcej nie widział. Był obok jakiś kredensik, wchodzi niemka z garczkiem kartofelek, jak bób, wyrywam, wysypuję w kask; – nałajała mnie ile chciała, niby nierozumiejąc zajadałem te orzechi tak jak były bez soli i z łupą: była to kolacja wspaniała. Przespawszy się siedząc – ale w cieple – jak tylko dzień, wyszedłem i schodzę się zaraz z zmykającym od kozaków wiarusem. Szedł z obwiązanymi nogami w onuczki. Z wejrzenia poznaliśmy się: polacy. Opowiedział swoję przygodę: że kilku ich maruderów zaskoczyli, pozdejmywali buty, zrewidowali, co mieli zabrali im, i zamknęli do stodoły na noc. Oni przedarli strzechę i uciekli. Tak gawędząc i maszerując już do Gdańska zastajemy w oberży na trakcie oddziałek z dwadzieściakilka koni żandarmeryi Grodzińskiej z furgonem. Mój towarzysz jako stary wiarus potrafił się tam wkręcić, ja nieśmiałem się wpraszać. Odjechali, ja na piechotę doszedłem do wsi i wszedłem do szynku. Pełno francuzów z bronią i bez broni, niebyło kącika, tylko pod stołem. Tam ulożyłem się. Pijatyka, krzyki, deptanie po nogach, a i głowie się dostawało. Nie o spanie więc już szło, ale w cieple noc przepędzić. W tym przededniem krzyknął Niemiec: Kozak. W mgnieniu już cała rzesza maruderów wysypała się na dwór, padło kilka strzałów z pomiędzy maruderów, bez kozaków nie było, – i tak wyruszyliśmy dalej.

Postępując słabo jako Inwalid – w przedmieściu Gdańska

/.

stanąłem o godzinie 10tej w nocy, którą to godzinę stróże nocne ogłaszali przez tarkotki z śpiewem: „Mospanowie gospodarze- już 10ta na zegarze- strzeżcie ognia i złodzieja- chwalcie Boga, w Nim nadzieja." Jeden ze stróżów zaprowadził mnie do kamienicy, zadzwonił, - wyszła służąca i wprowadziła do pokoju, gdzie dosyć było betów pościeli, przyniosła kieliszeczek wódki jak naparstek i zemelkę takąż. Po takiej kolacyi spałem jak zabity, i byłbym spał i cały dzień po tylu bezsennych nocach i takim marszu; lecz ledwo dzień, przyniosła takiż sam naparstek wódki i zemelkę, i zakomenderowała: marsz. Usłuchałem i za chwilę już wszedłem do Gdańska, opasanego wałami, najeżonemi harmatami, oblanego wodą, przez bramę. Tu dopiero znalazłem się w lesie. Z przestrachem posuwałem się w głąb, dopytując się o Plackomendanta. Wskazano, wchodzę - i zastaję w sieniach na pryczach siedzących, leżących dużo maruderów. Niezważając na to, wciskam się do kancelaryi- zdziwieni kanceliści, jeden wstaje, i zapytuje po francuzku, kto jestem? chociaż kask mój dowodził kto: słońce z blachy mosiężnej, a na środku №1. A żem przepisywał raporta pułkowe, zapamiętałem: Truaziem rezima a la gard Imperial - nie wiele to pomogło, bo jeszcze ten półk nie był znany. Nie zrozumiał mnie francuz i odszedł, a ja stanąłem pod piecem. W tem wchodzi oficer od piechoty. Widzę polak. Francuzi go zapytali się, a on mnie, rozpowiedziałem. Dali więc mnie bony trzydniowe na żywność i kazali iść do koszar ułańskich. Oficer nasz odchodząc, kazał mi przyjść jutro o 3ej do tejże kancelaryi. Rozeszliśmy się. Błądziłem długo nimem znalazł koszary, przerobione z szpichlerza zbożowego. Wszedłem na trzecie piętro, po dość nieczystych schodach obmarzniętych, między towarzyszów broni, z których żaden do mnie nie odezwał się, a ja także. Upatrzyłem próżny tapczan i zająłem. Przed wieczorem przyszedł żołnierz zluzowany z warty i spędził. Był jeszcze kącik pod piecem- tam przenocowałem. Jak: i to już mniejsza oto: przybyło zwierzątek gryzących. Rano głód dokucza, myślę jak tu odszukać magazyny? W tem trąbka i Furyer woła po dystrybucyę!

/.

Szczęśliwy idę. Przy pierwszym odbieram chléb pszenny w takich kołaczach jak tu weselne. Zasunąwszy na rękę, zajadam. W drugim wino. Niema w co wziąć, więc wypijam. W trzecim ryż, biorę w kask. A nim odebrałem mięso, to już kołaczów nie było, - ale śniadanie było cosię zowie. Trzeba myśleć o objedzie. Idę do kuchni żoł-nierskiej, proszę Francuza żeby mi dał garnka. Poczciwy daje. Nie wiedząc że ryż pęcnieje, nale-wam wodę, wrzucam mięso, i zaledwo zaczyna się gotować, rozsadza garnek. Francuz „bugruje" a ja zbieram ręką ryż i zajadam przez pół surowy; mięso na patyczku przypiekam i także zjadam - a tak trzydniowe racje spożyte. Już tedy cała nadzieja na oficera. Przed godziną trzecią idę do plackomendy, na ulicy zdybuję wiarusa, z którym to zeszliśmy się w Trzszczewie (: Derszau:) a którem przyłączył się do żandarmeryi Grodzińskiej, a że to był oddziałek z oficerem, daną mieli kwaterę w kamienicy - tam mnie zaprowadził. Przyjęli mnie bracia rodacy, lecz musiałem stać na ganku, póki nie zrobili [dla mnie] kąpieli, nie zebrali bie-lizny i odzienia, tak oczyściwszy, ubrawszy, przyjęli do grona. Byłem jak w raju - odżyłem przez parę tygodni.

W tem następuje uregulowanie, wojska rozbierają po pułkach, ja jako kawalerzysta do 9º pułku Ułanów, dowodził pułkownik Czosnowski, a mój kapitan szwadronu Bogatko. Staliśmy na Holc-markt, dostałem klacz hiszpankę z całym umontowaniem, była to moja uciecha, radość. Ta klacz uczyła mnie musztry, widać z pod starego żołnierza, bo na komendę wszystko spełniała - czy to w lewo, w prawo, czy formy dwójki, trójki, plutony, szwadrony... a nadewszystko, przy słusowa-niu nigdy się nie dała wypchnąć naprzód albo w tył, ja tylko dla ceremonii trzymałem cugle. Kochałem ją serdecznie. Najuciążliwiej mi było dźwigać siodło z całym kompletem, bo nie miałem jeszcze tyle siły, wycieńczony - lecz zmuszony dopełniałem. A trzeba było po musztrze siodło tak kompletne zanieść na

kwaterę, i przynieść do stajni. Kilku nas miało kwaterę
trochu opodal u mielnika. Zmniejszyło się furażów,
dostawaliśmy mniejsze racje, końskie mięso; a konie
chléb pieczony obsypywany mąką, polewany wodą. Wi-
dzieliśmy przemysł francuzów bijących żaby etc: a więc
i my biliśmy po błotach, a przyniósłszy, odciąwszy główkę
i zdjąwszy skórkę smażyliśmy na łoju zebranym z
lichtarzy. Czasem mielnik nakuwszy kamienie, ob-
mielał i tę mąkę nam zaofiarował. A cóż to były
za specjalne kluski, które się połykało, bo gryźć
nie podobna. Pamiętam na Święta wielkanocne
ruskie, Gubernator Rap i komendant fortecy, zrobił
sekretną wyprawę, i uderzył na oblegających Moskali,
gdzie odpędziwszy o kilka mil, jak mówiono, kazał
zabierać co się dało do magazynów. Byliśmy wykomen-
derowani także, i tu małom nie uległ wypadkowi.
Nie mogłem spiesznie osiodłać konia. Siadłszy dopę-
dzałem w gałopie. Francuz na pikiecie krzyczał: kiwi,
nie rozumiałem, aż zaczął mierzyć, dopiero zatrzy-
małem ~~się~~ klacz i porozumieliśmy się. Dalej więc
popędziłem, tam już robiłem co i drudzy, przed nami
byli już inni, mało co znaleźliśmy: świnkę, cielątko etc:
żyjątka, zabijało się w okamgnieniu, oporządzało się i
pod czapraki lub płaszcze się chowało, bo w bramie
straż odbierała do magazynów, więc tak schowane
przewoziło się. Mnie dostała się zdobycz: pęk świec ło-
jowych, już ważna to była rekwizycja kuchenna.
Po tej wycieczce, dalekko później; już tylko dla koni
nastąpiła: wykoszeniem zboża, paszeniem tychże kwit-
ko. Zachorowałem. Odprowadzony do lazaretu parę ty-
godni przeleżałem. Odpoczynek i lekarstwa wzmocniły mię.
Doktor wyprawiając z Lazaretu polecił pić stare wino.
Miałem coś z gaży kilka złotych. Poszedłem szukać. Szczęś-
liwie wskazano mi kupca. Ten przyniósł butelkę bardzo
starego wina, wypiłem kieliszek, to mnie orzeźwiło.
Przychodziłem częściej; póki nie wypróżniłem butelki.
A kiedym chciał zapłacić, kupiec nie przyjął, powie-
dział tylko z niemiecka że on Polak. Landgraf Ho-
lemark. Zacząłem pełnić służbę. Kilku nas wypra-
wiono na patrol pod forpoczty kozackie. Niewidzie-
liśmy kozaków zakrytych, w kilka chwil zostaliśmy
obskoczeni, i my i konie słabe, ani uciekać ani się
bronić nie mogliśmy. Dostaliśmy się do niewoli

/.

i zostaliśmy odprowadzeni do Oliwy, w kilka dni do
Królewca gdzie już zastaliśmy więcej braci kolegów. Zam-
knięci w arsenale, gdzie był kościółek, w którym za wej-
ściem jeszcze Francuzów stały konie. Niepamiętam
Święta, w którym to dniu dużo miejskich pań zwie-
dzało z dziećmi kościółek. Kiedy się napełnił, powstał
w kilka chwil silny krzyk płacz, wyruszyło to wszyst-
ko na dziedziniec, nie można było rozpoznać stro-
ju białego, a nawet twarzy: wszystko czarne; tak
oblegli pchły, każdą nawet część ciała. Dopiero nastą-
piło bez żenady otrzepywanie się i ucieczka.
W parę dni byliśmy wzięci na statek zwany Szyf.-i Hafa,
odpłynęliśmy do Piławy (: Pilau :) tam wysadzeni na
lewo do kazamat, a w prawo p. Hafe miasteczko. Zas-
taliśmy już tam znaczną ilość kolegów różnej bro-
ni i różnej narodowości - i nędzy towarzyszącej nie-
wolnikom. Tej nędzy dużo wytopiliśmy w Hafie, lecz
niewiele skutkowało. Zastosowany był niejako i wikt
do nędzy, bo zupa z spleśniałemi zemlami (: bułkami :)
z pekenflajszu tak słonego, że tylko głód zmuszał
do jedzenia. W tej miejscowości morze wyrzuca bursztyn.
Był więc odwach, w nim Pruska warta, po za tem brzeg
odpalisydowany, bo zbierany bursztyn odwożono do
fabryki królewskiej. Tu wypadło zajście z wartą.
Francuzi nudząc się, a przemyślni, wyjęli parę często-
kołów, nazbierali bursztynu i wyrabiali nożykami ser-
duszka, krzyżyki etc. Postrzegła to warta, i jednego
idącego za zdobyczą złapali i wzięli na odwach. W
tym momencie rzuciliśmy się masą, rozbroili wartę,
uwolnili swego, i nabrawszy bursztynu, poukładali
kupami i podpalili: tak szła ofiara całopalenia pod
obłoki przy śpiewach w różnych językach - tryumf
zwycięztwa. Na drugi dzień zjechał Generał Pruski.
Nasi oratorowie wystąpili ze skargami co do wiktu,
nieczystości w kazamatach etc. Nastąpiła zgoda. Ge-
nerał przyrzekł że dostaniemy świeże mięso, słomę etc
i dotrzymał. Oddaliśmy karabiny i uwolniliśmy na-
szych jeńców. W kilkanaście dni, a było to z początkiem
jesieni, kilkunastu nas na ochotnika przewieźli do
miasteczka. Tam mieliśmy kwaterę wikt i robotę, za

./.

którą płacili. Robota była: bicie pali dla wzmocnienia brzegu od wody. Dla przybywających statków, często kiedy wiatr ustał, a okręt się pokazywał ledwie okiem dojrzały, jak kaczka, komendant łodzi z 12 majtkami udawał się do okrętu i zarządzał przyciągnięcie liną. Czepiało się nas dużo do podanej linwy i podciągaliśmy do bulwaru. Za to płacili. Dnia jednego okazał się okręt daleko podczas burzy ~~przy brzegu~~. Zebraliśmy się na bulwarze. Był to dzień jesienny słotny. Wiatr tak silnie podwiał, żem się poślizgnął i z znacznej wysokości wpadł do wody w tym miejscu, gdzie Hafa wpada do morza dość silnym prądem. Byłem pod wodą. Szczęściem przy kilku ruchach dostałem się do brzegu. Lecz pale tak grube że objąć nie mogłem. Chciałem chwycić powietrza, chwyciłem wody. Przy trzecim palu cieńszym tyłem się podniósł żem chwycił powietrza, a już tylko chwilka decydowała, tu prąd rwał, tu woda zalęje. Z wytężeniem sił wydrapałem się między rzadko bite pale na podwalinę. Podano mi z góry drabinkę okrętową, po tej dostałem się na wierzch. Jeszcze wszystko odbyło się bez strachu. Lecz jakem się obejrzał na morze, taki mnie objął strach, żem zaczął uciekać na kwaterę, myślę, i chart by mnie nie dopędził. Poczciwy gospodarz zagrzał mi piwa kwartę. Wypiłem duszkiem. Odzienie wziął suszyć. Kapelusz i trzewiki poszły z wodą. Położyłem się spać, spociłem się i - wstałem zdrów, i dalej do Hafena do liny. Kiedy już Napoleon abdykował, rozpuszczono jeńców. Wskazano mi Królewiec abym tam się udał, i wziął pas do domu. Doszedłem z wielkim mozołem, mając ledwo kilka złotych w kieszeni, bez butów i czapki. Udałem się do wskazanego Krajsrata. Zdziwił się niepomału usłyszawszy moje nazwisko, bo znał mego ojca, familiję, będąc za rządów pruskich Krajsratem w Białymstoku. Dał mi pas i dwa talary. Wyszedłem z tém na fiszmarkt, rybką smażoną, bułeczką i serem holenderskim, co najtańsze, zaspokoiłem nieco głód. Tamże kupiłem na tandecie czapkę z krzyżykiem: Mit Gott für König und Vaterland, może i po zmarłym z pospolitego ruszenia. Chciałem krzyżyk odrzucić, ale przyszła myśl że może się przyda. I przydał się, bo on mnie i podwoził,

/.

i ufetowany byłem do syta, i noclegi wygodne. Utworzyłem bowiem plan udawania, że jestem z branży krzyżaka, a że w niemieckim języku dokładnie opowiadać nie mogłem, mówiłem że jestem z Mazurów fon Streyc(Prusz :/ A wieleż to zapytywań od matek, sióstr-może i kochanek- czym nie widział Hanz Franz- odpowiadałem żem widział, niewidział etc. Kupiłem tamże na tandecie i buty za 2 złotych, których w obawie żeby nie ukradziono- nie zdejmowałem. Zeschły się, nogi zaczęły puchnąć, ale tak dostałem się do domu, gdzie ich popruli, bo zdjąć ani sposobu. Na granicy objeżczyk przeprowadził na „tamożnie" - Dyrektor podpisał pas, odszedłem. Szczęście niesłychane, zdybuję Mejorka Arendarza mego Ojca. Żyd się spłakał z radości, kupił miodu, obwarzanków i jeszcze coś do zjedzenia. Na furkę i dalej w drogę. Szczęście i radość do nieopisania. Jadę do domu. A że późno wyjechaliśmy- o północy stanęliśmy. Żyd odjechał, a ja weszedłem na dziedziniec dość duży, na którym pasły się konie i parobcy spali. Nie chcąc budzić poszedłem w słomę, ale zasnąć ani sposób. Ledwo zaczęło szarzeć wstałem. Ledwom podszedł do ganku, wyszedł ojciec, poznał, wskazał pokój ręką, i odszedł zapłakany. W krótce przyszedł, nakazał cichość bo Matka słaba, pobudził siostry, braci, nakazał zrobić kąpiel, bieliznę i ubranie przygotować i odszedł. Dopiero radość, uściskanie się rzewne. Dopiero po przepruciu butów, wykąpaniu, wyczesaniu, zebraniu N3 w ojcowską kapotę, która znacznie była długą, a na objętość dwóch by się takich zmieściło jak ja: wystąpiłem. Matka ledwo mnie poznała, i w parę tygodni pochowaliśmy ją. Dostawszy się do domu jak do raju, prędkom sił nabrał, a konna jazda uzupełniła resztę. - W parę miesięcy powrócił i mój brat z Paryża. A że był przy abdykacyi Napoleona 1° w pułku pierwszym Gwardyi, wrócił w pełnym mundurze z krzyżem Legii honorowej. Radość, odwiedzanie krewnych, sąsiadów, zabierały dużo czasu. Po tych owacjach kazał mi Ojciec gospodarować w drugim majątku. Nie było to mi na rękę. Psy, konie, polowanie i zabawy to mię pociągało.

/.

Nie pamiętam dobrze, a zdaje się w roku 1819. wyjechałem z Kuzynem do Kuzynów w Mińską Gubernię. Lat kilka bawiłem. Zaszły i tu okoliczności przykre. Obraza jak mi się zdało honoru - winnie, niewinnie, bo jako świadka bagateli. - Uczułem to tak mocno, żem zamierzył życiem zapieczętować. Zdaje mi się wyczytano to z mojej twarzy, bo ktoś uprzedził mnie do mego pokoju i pistolety Sagalas Londona zdjął i schował. Nie zastawszy broni kazałem zaprzęgać, a w godzinę wyjechałem oburzony, wzburzony - tak że dojeżdżając do lasu o 100 kroków, jużem go nie widział. Przestraszony tym wypadkiem byłem przez pół żywy - ledwo w godzinę przewidziałem, a że już był wieczór w miasteczku do austeryi zajechałem. Wziąłem pokoik. Tu szczególne zaszło zdarzenie. Po drugiej stronie blacharz żyd do Kościoła miał pracownię. Znajomy mi, wyczytał i on coś z mojej fizognomii niedobrego - bo zaczął namawiać żebym kazał przynieść miodu - a on będzie mi pokazywać djabła. Bez przytomności zrobiłem to co chciał, podano miód. Światło, siadłem przy stoliku, nalałem miodu w szklanki - dałem i żydowi. On wywrócił do góry futrem czapkę spiczastą, podwiązał nogę, dziwacznie się przebrał, i zaczął udawać djabła kulawego, drapiąc się po ścianie. Patrzyłem na to, ale i nierozumiałem i obojętnym byłem widzem. Niedopiłem pół szklanki miodu, kiedy niesłychana senność mnie opanowała, tak że ledwo do łóżka doszedłem, padłem nie rozebrany i spałem najpewniej od 10ej do 10ej. Wstałem najzdrowszy, a rozebrawszy wczorajszą historyję, śmiałem się sam z siebie. - Co to może krew młoda! Niechże rozumy ludzkie wytłumaczą i zaprzeczą że niema przeznaczenia, niema opieki Boskiej. Tam trzeba było zmarznąć umrzeć, i to nieraz - tam utopić się, tu zastrzelić się, ociemnieć. Nie bez usterek i dalsze moje życie, ale wszędzie i zawsze doświadczałem i doświadczam przeznaczenia z łaski Boga. - Przyjechałem do mego znajomego, przyjaciela, zupełnie wesół. Obeznałem się w sąsiedztwie, a że blizko był kościół i Dominikanie, poznałem się także. Jeden był naznaczony przeorem kontrakty /: niżej jak prowincyał :/ do Kamieńca. Nabrałem ochoty, a szczególniej jak mi opowiedziano, że miasto Kamieniec - na jednym kamieniu w koło wodą oblanym - tu już przeszła miana ciekawości, chętnie jadę. Podróż bez wypadku, nie bez strachu w wielu miejscach, ale to tylko dla mego przeora bojaźliwego. A jechaliśmy wygodnie: Powóz 4 konie, furman, lokaj; Bryka 4

konie, z kuchnią, bagażami, furman, kucharz. I jeszcze koń zapasowy łożny. Tak wjechaliśmy do Kamieńca z polskich folwarków przez ~~większą~~ wietrzną bramę. Było moje wielkie zdziwienie na te cuda natury, a i przestrach nie mały, bo mi się zdało, że te domki przyczepiono do skał, jak gniazda jaskółcze, usuwać się muszą. Powiem prawdę, odwracałem wzrok, żeby się nie patrzeć na nieszczęście, co chwila spodziewane. Po czasie oswoiłem się. I tu wyobraźnia moja za daleko sięga: o niebie, ziemi, narodach, zwyczajach, obyczajach i t. d. za daleko sięga. W naturze nic się nie zmienia, tylko człowiek oswaja oko w poglądzie, jak że się zmienił, jak że zmienił wszystko, zastosował do mody, pod każdym względem. O tem należałoby Uczonemu obszerny traktat napisać. Ale simplex servus Dei, wracam dokończyć mojej peregrynacji. Zamieszkawszy czas jakiś w klasztorze, opowiem zdarzenie. Byłem żarłokiem. Przyjechałem po obiedzie. Już Przeor kładł się na odpoczynek, a ja wchodzę głodny. Powiada że jest w szafie pieczeń wołowa upieczona na cały zakon: mogę głód zaspokoić. Istotnie znalazłem noże i całkowitą, wódkę i chléb. Bez ceremonii zabrałem się do tej operacyi, a kiedym oczyścił półmisek z pieczeni i z chlebem, wyszedłem. Przeor się przebudził i nadszedł kucharz po dyspozycję: co będzie na kolację? Odbiera dyspozycję z tej pieczeni zrobić bigos i coś tam jeszcze. Kucharz nie znajduje pieczeni, przywołany chłopiec także. Zapytuje mnie czym zjadł, odpowiadam że tak jest. Wziął się za głowę i powiada że to pieczeń była na cały zakon z 9ciu funtów. Coś innego zadysponował, a mnie zaczął kurować przestraszony: kazał przynieść parę butelek wina, wypiliśmy. Zadzwonili na kolację, poszliśmy, jadłem tak jak zawsze. Po kolacyi samowar, herbata i rum do kuracyi. Przy gawędce wypiliśmy wszystko, i rozeszliśmy się spać. Na drugi dzień byłem tak zdrów jak zawsze, i z równym apetytem, o czem przekonał się. W Podolu zaznajomiwszy się, miałem różne obowiązki, i dobrze mi było, – i tak do roku 1830.° Wybuchło powstanie. Porzuciłem wszystko,

nie namyślając się chwili. Koń, pałasz, pistolety. Przy-
byłem do Wmc: Stempowskiego, chorążego powiatu, na czele Mar-
szałek brat jego Leon. Nie będę opisywał naszych czynów,
bo przez zdradę sparaliżowane całe powstanie. Żeśmy w
wigilię Ruskiej Wielkanocy całkiem byli w pogotowiu,
broń dobyta, konie posiodłane. Przychodzi odwołanie.
Uznaliśmy za lepsze siąść na koń, jak peregrynować
przez kaźnie w Sybir. Wystąpiliśmy w sześćdziesiąt
kilka koni, szukając w różnych kierunkach połą-
czenia się. Nie znaleźliśmy. Po takich marszach i
kontramarszach parętygodniowych uradzono przejść
do Galicyi. A więc przybyliśmy do Strużki żeby zabrać
co było, przenocować i dalej w drogę. Lecz obiad suty,
loszek dobrze zaprowidowany - nieżałowano niczego,
a Bracia szlachta, mająca blisko rodziny gdzieś i
kochanice, po części rozjechała się. Kiedy rano razem pikieta
dała znać, że jadą ułani. A więc na koń. Kiedyśmy się
zebrali było nas koło 18tu. Dalejże fugas chrustas, czyli
do lasu. Rejterada była pod przykrą górę. Postrzeg-
liśmy że pluton ułanów przecina nam drogę, lecz
uprzedziliśmy. Kiedy już byliśmy na górze, niepodciąg-
nięte popręgi, siodło się wy~~wraca~~kręca i ś. p. W. Stępowski ~~zwraca~~ zsuwa się.
Krzyknąłem na kolegów: Stój!... Za dubeltówki!...
odmień front!... to się w popłochu udało. A tak
nogę jego wyrzuciłem z strzemienia, a jego leśniczy
Kuźnicki poprawił, podpiął. Ułani też za nami
wstrzymali się taktownie, jakby na komendę. W
tym widzę cały szwadron już na dziedzińcu. Mój
brat spóźnił się, ale dobrą nahajką przebił się
przez pluton, który nam tył zajął, bez szwanku.
Zmykamy w największym galopie. Wtem ś. p. Leon Stępowski
zsiada z kiepskiej szkapy, i wsiadł w parów. Wytężamy
galop dalej; lecz i ułani za nami, kiedy się już konie rozpie-
rali i na lichszych szkapach. Nie dostali się do niewoli. Za-
komenderowałem: Stój! Za broń! Odmień front! Niespodziewa-
nie udało się: i ułani to samo uczynili. Zaczęli tylko
flankierować. Żeby więcej dodać animuszu swoim,
palnąłem lotkami. Za daleki był dystans, ale widzie-
liśmy kurz z munduru. Oderwali się koledzy i brat:

/.

Po djabła tak daleko strzelać. Nie odpowiedziałem nic, bo mi szło o co innego w tej chwili. Zakomenderowałem: Stępo, marsz! Co i ułani uczynili. Tym krokiem doszliśmy do kołłowiny zarośniętej. I tu dopiero rozsypka zupełna nastąpiła, jak chłop: nepryjmiryjuczy wiwci. – Na jednej drodze ja Pan Wincenty i jego leśniczy Kunicki Lernikumicki znaleźliśmy się. Tu Wincenty S. zsiada z konia i szust w parów. Mówię Chorąży, co robisz? odpowiada zmęczony jestem, pogubiłem pistolety. Że to było jeszcze w jego terytorjum, koń do pewnej pasieki pobiegł, i leśniczy za nim. Wyjechawszy na wysokość, zakrywszy się drzewami, rozpatrzyłem, co się stało z Ułanami? A coś i kilka kozaków w oddali okazało się. Ledwo dojrzałem, że w pełnej energicznej rejteradzie byli Ułani i Kozacy. Nie mogłem sobie wytłumaczyć co to było, że tak grzecznie i po przyjacielsku z nami się obeszli. Jedno mi się przedstawia: że byli w obawie, żeby nie wpaść w zasadzkę. Bo gdzie nas było 10ciu fama niosła że jest tysiąc, a wyraźniej Boska Opatrzność. Postawszy tak na pagórku rozmyślałem, co z sobą zrobić? Wypadło z kombinacyi: broń i co tylko by zdradziło zakopać tamże w parowie, nie bez nadziei, że wkrótce przechodząc tędy, zabiorę. Jakoż powierzywszy ziemi, raczej liściu – ukryłem. Siadłem na koń z postanowieniem szukać powstań, nie tylko w kraju ale i za granicą. Wszak powracać do domu nie było po co. Jechałem zadumany prawie pewny że znajdę – bo o wielu wiedziałem. Jadę do pierwszego. Od żydka na drodze dowiaduję się, że tego Pan Czerkas niema – a tam Ułany. Jadę dalej. Ku zachodowi już słońca widzę naprzeciw mnie patrol. Było to dość odległe. Jechałem wprost spuszczając się w dół. Tym rozdołem wymknąłem się. Żebym to był uczynił na górze pomyśleliby że uciekam.... Tak późno dojechałem do Austeryi, i tam wygodnie przenocowałem; koń, i ja, niegłodni śmy byli. Rano mówię żydowi żeby mi furkę najął, bo koń zachorował, zdało mi się że to będzie lepiej. Żyd powiada, że za żadne pieniądze fury nie dostanie.

/.

A więc na koń i dalej. Przybywszy do znajomego zasta-
łem wiadomość o naszej rozsypce, był już kolega i uwia-
domił. A więc konia do stajni, a mnie do pokoju. Swobodnie,
wygodnie aż do nocy. Rozpowiedział mi przyjaciel, że
koło Jabłonowskich karczem, wtym a wtym jest powsta-
nie. Wskazał i drogę. Ucieszyłem się, i położyłem się
spać. Koło północy w najlepszym śnie i marzeniach
budzę. Przysłany leśniczy Kunicki prosi ażebym
jechał zaraz, bo na mnie czeka Chorąży [W. Skorpowski] niedaleko.
Jadę, noc ciemna nadzwyczajnie. Przyjechałem
do dworu, zastałem kolegę między bydłem. Projektuję
jechać wskazanymi drogami, on oparł się, żeby jechać do pa-
sieki, znanej z przechodu naszego. A było to pod samym
Barem na trakcie. Nie zgodziłem się. On odjechał do
pasieki. Żal mi się zrobiło, wracam do przyjaciela, opo-
wiedziałem zdarzenie. Wysłał zaraz wóz sprowadził i odtrans-
portował do Galicyi. Przybył mi też towarzysz leśniczy, chłop
tęgi i silny. Dodnia wyruszyliśmy do punktu wskazanego.
A że to była wiosna, śnieżnica, zimno - postrzegłem że drży
od zimna mój kolega, lepiej odemnie odziany. Huknąłem że
w łeb mu wypalę, chociaż pistoletów nie było. Te słowa
wrażliwemu napędziły ciepła. Tak jadąc przez dużą wieś,
przy austeryi zatrzymałem się, wypiliśmy wódki, rzuci-
łem zapłatę bez zdaczki, bo widziałem ruszających się
chłopów /: były już warty :/. Dojechaliśmy do dworku już
jako pan z sługą: taką miało minę. Przyjęci serdecznie,
nakarmieni, osuszeni, przenocowaliśmy. Tam nam
wskazano już bliskie zebranie powstańców przy Jabło-
noskich karczmach. Szczerzem westchnął do Boga. Na
koń tedy. Przejeżdżając przez dużą wieś szlachecką - widzę
z daleka przy karczmie uważającego na poszywalni-
ków Assesora. Nieprzyjemne to na drodze; lecz: nahajka
jeżelibysię sam posunął, w innym razie galop - którędy
szerzej. Przejechaliśmy stępo, pokłoniliśmy się sobie, i
dalej. Niedaleko za wsią dały się widzieć kupy ludzi i
koni w lesie. Podjechawszy trochę i zasłoniwszy się
lasem, dałem konia trzymać, a sam podsunąłem się,
dla przekonania się czy nię kozacy. —

/.

Chwała Bogu! nasi Bracia. A więc wracam na koń, i staję przed kapitanem Nagurniczewskim – przyjęty. Razem tedy w marszach i kontrmarszach miałem udział w wyprawie na Latyczów. Stanęliśmy jeszcze tylko zaczęto szarzeć. Rozkomenderował kapitan po 3 żołnierzy w każdą ulicę, z rozkazem przebiédz w galopie, sam udał się z oddziałem po sprawnika. Mnie z dwoma żołnierzami wypadła ulica na prawo, którę przebiegając w galopie wpadłem na rogatkę na trakcie pocztowym, przy której warta była z 6^ciu^ żołnierzy, a która rzuciwszy karabiny, zaczęła uciekać. Potapaliśmy, broń zabrali i nadchodzącemu obywatelowi oddaliśmy aresztantów z poleceniem odprowadzenia do klasztoru. Obok za rogatką była Tiurma (: Więzienie:), oficer postrzegłszy to, z swoją wartą zamknął się do środka. W tym słyszę z tyłu: hurra, hurra! zdziwiony zwracam się i nadjeżdżam na ułana, który pod chatupą obdziera powstańca ubitego kijami, zdaje mi się Miazyński. Postrzegłszy nas zmieszał się, porwał za karabinek, strzelił na wiatr i uciekł. – Hura nie ustaje – podjeżdżam, i widzę massę rekrutów z kijami, we środku Majora. Brakowało dubeltówki, a byłaby wojna skończona. A tak rejteruję i zastaję kapitana wychodzącego od Sprawnika, który umknął, a pościel w lochu była jeszcze ciepła. Pokazało się że ta massa rekrutów przyszła o północy, a ułanów kilku było wysłanych za rymundę. Wróciliśmy do obozu, kiedy resztki naszych ściągało się z wyprawy. Pokazało się w oddaleniu jeszcze trzech. Ktoś krzyknął że idą ułani. Jeden na dzielnym koniu z hebanową lancą, tchórz – rzuca lancę i w nogi. Robi się popłoch. Coś podobnego można widzieć kiedy wilk wpadnie w trzodę owiec. Znaczna większość naszych żołnierzy została.

i z tą przyszliśmy do Szahiniec, przemoknięci do nitki, w nocy. A więc suszyliśmy się i odpoczywaliśmy, karmiliśmy konie. Dzień prześliczny. Koło południa nadjeżdża sprawnik sam jeden, widać praw człowiek, stary żołnierz. Krzyknęli nasi złowrogo. On flegma powiada: że możecie ze mną zrobić co chcecie, ale przecie posłuchać musicie. Wszędzie się za wami upędzam, a jeszczem żadnego nie złapał. A powtóre, wy powstańcy, to wam należy być po wsiach i miasteczkach – a nieprzyjaciel po lasach. Kiedy to nie huknie szlachta: Wiwat! Wina! i tak z najwyższą czcią pożegnaliśmy – odjechał, a my przy zachodzie słońca na koń. Wyszliśmy już się ściemniło. Bo to należało do naszego manewru, udać się w lewo, w prawo, a potem noclegować. W tym kiedyśmy się sformowali nad rozdołem, padł z tamtąd strzał. Kapitan zakomenderował do ataku broń, galopem naprzód, wzięto zaraz kozaka i jeszcze jakiegoś ich oficerzynę. Wyjaśniło się to potem, że oficera z depeszami przeprowadzali kozacy manowcami, i ten uszedł.–

Przyszliśmy pod Bar tam przyłączyło się powstanie: strzelcy konni piesi Chłopickiego etc.– Weszliśmy do Baru. Kilku inwalidów przy magazynach aresztowano. Chłopom pozwolono rozbierać zboże, co i uczynili. W propinacyi skarbowej rządowej popalono papiery i na paręset rubli nabrano kasy. Kule działowe jeszcze polskie zatopiono w stawie. Z zachodem słońca wyszliśmy. Rozpoczęła się kłótnia o kasę dość energiczna między średnią branżą. W tym okazuje się w znacznym oddaleniu że coś się rusza, może i kozacy. Zatrzymano tedy – kazano stać rekonensans. Jeden z oficerów nakazawszy stać szwadronowi i bez jego komendy nie ustąpić, pogalopował także. W krótce przekonano się że coś się pasło. Ruszono więc obozik.–

/.

Postrzegłszy oficer, że jego szwadron, raczej pluton, ruszył bez jego rozkazu, robi hałas, ba i do pałaszy i pistoletów. Nasz komendant zatrzymuje obozik i powiada: Chociaż panowie poddaliście się pod moją komendę, ja odstępuję i odłączam się, bo tu trzeba wszelkiej przezorności, nie kłótni. Ja z moich wiarusów kontent jestem. Dopiéro przeprosiny solenne zgoda. Idziemy tedy w lewo, w prawo, lasem, i stajemy za Barem. Ktoś zełgał że Moskale weszli do Baru. Kazał kapitan wziąść dwóch kolegów i jechać do Baru przekonać się. Bardzo rozkaz nieprzyjemny, ale powiedzenie (: „z moich wiarusów kontent" :) kodziec co się zowie. Pojechałem, noc ciemna, rozpytuję się po drodze. Powiadają w mieście nie ma. A więc do Burmistrza. Dał i świadectwo o tém. Wracam słońce już ma wschodzić. Kapitan pod dębem śpi. Jeszcze mu z pół godziny dałem zasnąć, rozbudziłem nareszcie i odraportowałem. Niéma czasu spać, ani konia nakarmić. W téj chwili dano znać, że General Kołysko rejteruje z pod Obodna ku Galicyi. A więc marsz. Przeszliśmy jakie parę mil w las, na piękną dużą sianożęć popasać. Konia oddałem koledze, a sam spać. Może w parę godzin wystrzał. Pikieta rozumiejąc że kozak na wozie, a to był pop z brodą, zaalarmowała. Zaraz tedy konie siodłać. Kiedym się przebudził byłem w największym ambarasie nie widząc konia, a tu już siadają. W tém kolego od wody przyprowadza. Pospieszyłem się i już byłem w plutonie kiedy nadjechał kapitan. Oddał mi pod komendę pluton, i kazał być w arjergardzie. Nieprzyjemne to było i uciążliwe, bo i za bagażami, a było ich dosyć, prócz fur z prowiantem: powozy, bryczki etc. Staruszek obywatel z Murawy z 2ma synami, miał 4 konie pomieniane. Kto zepsuł swego, oddawał do dyszla a brał zdrowego. Nadto kozaki jego, gotowali sobie, a może i panu. Kazałem zaprzęgać, lecz ani myślą. W tem moment rozkaz:

kilku żołnierzy ~~skowi~~ orr powykwali z garków, ogień zalali.
Zaprzęgają, lecz tak dobrane konie niechcą ruszyć.
A więc kazałem siadać na konie służbie, i tak ruszy-
liśmy. Napędziłem staruszka, był bardzo wdzięczen.
A dalej i moje fury, psuło się to tu, to tam. Radziło
się przekładając na inne, rzucając zepsute. Tak dopro-
wadziłem przez Szerawkę do Folwarku mlecznego
pod Jarmolińcami. Popasamy. Żydek, nasz faktor,
idzie do Jarmoliniec za językiem i żywnością, niewie-
dząc że tam sotnia kozaków. Kiedy wjechał, zastał
przestrach, siodłali konie. Żyda pod areszt, przy wo-
wie. Nie daleko stał koń Uradnika. Żyd na tego konia i
entlojf do nas. Zaalarmował. Komenda na koń. Kiedyśmy się
zformowali, Kapitan Nagurniczewski komenderuje mnie z
plutonem i pluton strzelców z Bru~~szkiewem~~ oficerem w ariergardzie.
Idziemy tedy, bagaże przed nami. Brożek powiada, że onby
poszedł naprzód popaść konie, a jak ja nadejdę, to także
tak zrobię. Przystałem, ale jużem go więcej nie widział
aż w Zamościu. A tu kozacy pokazywali się jak świerki
z daleka, ale nie zaczypiali. Kiedy już słońce zaszło,
odebrałem rozkaz wszystkie mostki za sobą zrzucać.
Zrzucałem. Gdzieś koło północy przed samą Indurą drugi
rozkaz: rzucić bagaże, z plutonem pospieszyć. Ruszyłem
tedy kłusem, ~~z~~ wielką biedą przez miasteczko przecis-
nąłem się końmi, powozami etc. zatarasowane. Dostaw-
szy się za miasteczko, myśląc że się tu coś złego święci.
Galopem, kłusem, stempo dojechałem obóż już niedaleko
Satanowa. Odraportowałem Kapitanowi, i wolnym mar-
szem idziemy, a już już na brzask się zabierało, a ja
od snu prawie z konia lecę. W tym komenda: formuj
dwójki i nagle szustki, plutony, szwadrony. Widzę że
tu coś złego będzie, a jednak senność nie opuszcza,
prawie machinalnie dopełniałem komendę. Wchodzimy
do Satanowa, a słońce wschodzi, sen opuszcza. Zaraz
przeszliśmy Zbrucz do Galicyi, i na polanie rozłożył się obóz.
Była fałszywa pogadanka w obozie, że tak jak jesteśmy
przejdziemy do Królestwa polskiego. Odpocząwszy posz-
liśmy do Okna, tu ogromny zawód i konfuzyja zdybała.
Bo przyszli Huzary, kazali złożyć broń, i zapędzili
tegoż dnia do Skałatu w obóz, i tam obstawieni wartą

z piechoty i huzarów. Zabawialiśmy się. Oficerom pozwolono do miasteczka. W parę dni urzędnik spisywał nas internowanych. Przybyły niektóre osoby obce także do obozu, pokazało się dla zysku. Pretekst kupna. Pewien Mandaterjus szepnął mi do ucha, żebym dał konia, materac, toż samo i kolegom, a on to wszystko odprowadzi do dużej austeryi, którą nam wskazał oddaloną na górze, i ta nam odda. Zrobiłem w tym celu znajomość z podoficerem od huzarów, winem: rozmawiając po łacinie nie koniecznie płynnie. Kiedy słońce zaszło, wziąłem garczek niby po wodę. On mnie przeprowadził po za wartę pieszą, i tak dostałem się do owej austeryi. Mandaterjusza niema. Uzebrało się i więcej namówionych kolegów. Koło 11ej w nocy przybiega Mandaterjusz z krzykiem: uciekajcie, bo huzary idą; i wskazał dalszą drogę, na której kazał nam czekać, a on nasze konie i bagaże odda. Czekaliśmy do dnia, a niedoczekawszy się, rozeszliśmy się w różne strony. Było to manewr Mandatora, może i huzarów z parę zatrzymał, na wypadek upominania się. W pierwszej wsi nająłem furkę - przyjechałem do Suszczyna. Wszystko tam było co trzeba, tylko nie to co dusza pragnęła: co żywo do Raju t. j. do Królestwa pols:- Po nanadsie z szlachetnym obywatelem napisałem list do Mandatora o konie. Odpisał bezczelnie że kupił. A któż życie przedaje: koń dla żołnierza to życie. Nie było czasu procesować się. Prosiłem o marszrut, dano i furkę. I przez Tarnopol Horodyszcze /: mego półkownika z Gdańska majątek:/ przejechałem. Olejów wówczas Starzyńskich, tam parę dni odpoczywałem. Znaczna tam już załoga Kolegów zebrała się. Że mi pilna była podróż a fornalki słabe i trudne, kupiłem tam u Mandatora parę dobrych mierzynów, słaną brykę. Znalazł się Kolega furman. Wymówiłem sobie mohoryczne: ze wschodem słońca ruszę.

/.

i dotrzymał Mandator. Kontent z mojéj akwizycyi, rozmyślałem już tylko o raju. Widzę wieczorem ruch znaczny huzarów, którzy tam utrzymywali nadgraniczną portę swoją. Idę i ostrzegam kolegów. Śmieją się ze mnie. Zostawiłem ich w błogich uciechach, a sam na bryczkę. Przed wschodem słońca zajechałem do mandatora. Pijemy kawę i widzimy z okna pałac obstąpiony przez Huzarów. Ja jadę dalej wskazanemi drożynami. Pokazało się że po przyjacielsku się obchodzono. Bo może w pół godziny napędzili kolędzy i pominęli z taborem. Kontent z wolności dojechałem do Machnowa już nad granicą. Zastałem wszystkich kolegów a nawet i więcej. Stół nakryty do obiadu. W tej chwili zaciągła kompania piechoty na granicę. Ostrzegłem i tu kolegów że może być źle, lepiej obiad zjeść w lesie. Śmiano się i powiedziano mi, taki to ty kolega." To mnie wstrzymało. Ledwo zaczęliśmy zupę, piechota obstąpiła dom, w każdym oknie żołdak z bagnetem. Wszedł podoficer, zaprosił zum Kapitän, lecz pozwolił zjeść obiad. Mina zrzedła, a dla niektórych szczęśliwszych znalazły się i kryjówki. Po skończonym objedzie wszedł powtórnie i zaprosił z sobą zum Kapitän. Rozmyślałem o sobie jakby się wykręcić. A ponieważ po cywilnemu byłem i mam swoje konie i bryczkę, najwłaściwiej odegrać rolę oficyalisty. Do tego zasłyszałem o Rawie Jabłonowskich. Plan więc gotowy, że wyjechałem za kupnem wołów na gorzelnię. Kiedy stanęliśmy przed kapitanem, kazał spisać nazwiska, ja jakoś inaczej nazwałem się, i prosiłem kapitana, że jeżeli muszę być w transporcie, żeby rozkazał konwojowi przed pałacem w Rawie stanąć, abym mógł dać wiedzieć o sobie. Rozkaz wydał i tak ruszyliśmy, dodał tylko że mam się tłumaczyć w Żółkwi. To zdarzenie było szczęściem dla nas. Zatrzymani przed pałacem w Rawie, wszedłem do tegoż. Na dole w pokoju rządcy dużo zastałem oficerów od Szwaliżerów. Zbliżyłem się do Rządcy szukając rady. Nie miał i nie dał. Kiedym już wychodził zaszedł mnie oficer i z niemiecka do ucha powiedział:

/

Ne gada że na chorągiew przysiągał - a tylko przez rabunek kozak - uciekł tu, na protekcję Cysar.
Była informacja dostateczna, którą kolegom do ucha udzieliłem. Z tąd już transportowali Szwalizery przez Żółkiew do Lwowa wprost do Transporthausu. Nim odraportowano, nim przyszedł rozkaz, z nudów pisali koledzy prośbę po francuzku do Gubernatora - Lobkowicza. Uśmiechałem się na to, a to gniewało. Jeszcze prośba nie była ukończona, kiedy wszedł Sztabsprofos i zaprosił nas na kwatery. Otworzył, dosyć ciasne, ledwo po dwóch, meble sprzęty liche, niewygodne, - powietrze zepsute, jedno tylko naczynie przydatne we środku, i woda - a za drzwiami szyldwach. Zrobiło to nam sensację niemiłą wprawdzie, chociaż nieco pouczające. Co do potraw Gulaszflajsz doskonały - trochu za wiele perczycy. Konie z furmanami odprowadzono na fajerpikiet, kazano dać na żywność, daliśmy. Trzeciego dnia przyszedł Audytor, ciągnął protokoła, były krótkie, bo na jeden model. Każdego z osobna po protokule odprowadzali żołnierze do Sztokhausu, z bagnetami jak mówią geladen jeden z przodu, drugi z tyłu z wymierzonym bagnetem w czyjej plecy. Z kolei prawie ostatniego odprowadzą z tym honorem i mnie. Dopiero na korytarzu przed drzwiami kaźni, kiedy Sztabsprofos otworzył drzwi, zrobiłem głośny wykrzyknik, że ja nie złodziej ani rozbójnik, chociaż wiedziałem że to nic nie pomoże. Jednak nastąpiła przyjacielska perswazya. Kiedym dodał że ani żadnej pościeli i innej wygody nie widzę: na grzeczne przyrzeczenie, że za kilka chwil odwiedzi i co możebne ułatwi. Wszedłem. Jakoż dotrzymał słowa. Najpierw prosiłem o dobrą herbatę, cukier i rum jaki może być najlepszy; o świecę, pościel, książkę, z tym warunkiem że bez niego pić herbaty nie będę etc. Pod każdym względem dotrzymał słowa honorowo.

/.